

CZASAMI MECZ O NAJWYŻSZĄ STAWKĘ ROZGRYWA SIĘ
POZA LODOWISKIEM



falling for
**A PUCKING
PLAYER**

KAROLINA ZIELIŃSKA



KAROLINA ZIELIŃSKA

falling for
**A PUCKING
PLAYER**



Redaktorka prowadząca i wydawczyni: Ewelina Kapelewska

Redakcja: Justyna Yiğitler

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Adelina Sandecka

Zdjęcie na okładce: © Mandrixta; © dule964; © BillionPhotos.com / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © panaceaart; © Ukio.stock / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2026 by Karolina Zielińska

Copyright © 2026, Papierowe Serca an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-122-6

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl





Tylen

Ogień.

Mięśnie palą mnie żywym ogniem, kiedy ponownie rozpędzam się na lodzie, jednak każdy mój ruch jest świetny technicznie, co pozwala mi wyprzeć ból. Sunę coraz szybciej w kierunku krążka, robię zamach i uderzam tak mocno, że Mitch nie ma szansy zareagować. Guma wpada do bramki, a ja zadowolony unoszę rękę odzianą w rękawicę i zaciskam pięść.

– Wal się, Green. Przez ciebie przegrywamy.

Jaxson podjeżdża z prawej i pokazuje mi środkowy palec. Jest jednym z najmłodszych zawodników w naszej drużynie. Zastąpił Adiena po tym, gdy ten postanowił zostawić nas dla pieprzonych Nafciarzy. Gra od niedawna, jeszcze się docieramy.

– Przypomnij mi, jak się dostałeś na lód – odbijam zaczepkę.

Tak naprawdę wynik jest gównie wart, bo obaj jesteśmy po prostu w połowie rutynowego treningu, ale z jakiegoś powodu nie umiem odpuścić młodemu. Niedawno świętował urodziny.

Palant ma dwadzieścia trzy lata i sądzi, że jest bogiem tafli. Cóż, nie mogę go za to winić, bo w jego wieku myślałem podobnie. A to było... no, już jakiś czas temu. Trzydziestka nie oznacza starości, o ile nie jesteś zawodowym hokeistą. Ile jeszcze pogram? Pięć, sześć lat? Kurwa, nienawidzę o tym myśleć. Zaciskam zęby, wzmacniam chwyt i atakuję krążek, mimo że jeszcze nie zaczęliśmy. Jestem w szczytowej formie, a moje wieloletnie doświadczenie pozwala nam zdobywać przewagę w niemal wszystkich rozgrywkach. Pieprzeni dwudziestolatkowie.

– Zostałem zauważony.

Jaxson podjeżdża i trąca mnie ramieniem. Może ma rację, może Skauci rzeczywiście go wypatryli i ma ponadprzeciętne zdolności, ale dla mnie wciąż jest tylko irytującym młodzikiem.

– Hej, panowie. Spuśćcie trochę pary, co? – Felix, kapitan, materializuje się tuż obok i patrzy na mnie z naganą. Przysięgam, ten człowiek jest porządniejszy od samego papieża. Zawsze wie, kiedy należy rozładować atmosferę, i naprawdę go uwielbiam, ale w tym momencie wołałbym, żeby po prostu pozwolił mi na kontynuowanie tych durnych przepychanek.

– Nic się nie stało, młody. – Mitch wychodzi z pozycji bramkarza i zatrzymuje się przy sfrustrowanym dzieciaku. – Następnym razem skopiesz mu dupę.

Taa, jasne. W twoich snach, M!

Eric, nasz napastnik, łypie wzrokiem w kierunku Jaxsona.

– Stawiasz się starszym, młody?

– Zostaw go. – Uśmiecham się w stronę kumpla. – Jeśli da dupy z Rycerzami, będziemy mieli pełne prawo publicznie go zjebać – stwierdzam, nie odrywając wzroku od chłopaka.

Niespodziewanie James trąca kijem mój kij i zmusza, bym przestał świdrować spojrzeniem Jaxsona.

– Co tam? – zagaduje. – Ile cipek już przeleciałeś, Green?

Jim słynie ze swoich świńskich żartów i tego, że wszystko kojarzy mu się z seksem. Jest trzy lata starszy od Jaxsona i w ostatnim meczu zgarnął dla nas bramkę. Zawsze pyta mnie, z iloma kobietami ostatnio spałem, a ja zawsze odpowiadam, że ta liczba wynosi równe zero. Kiedy miałem osiemnastkę i zacząłem zawodowo grać w hokeja, zachowywałem się jak zwierzę i niejednokrotnie wykorzystywałem fakt, że sporo zarabiam. Moje libido szalało, a każda noc pachniała ostrym seksem. Do czasu, aż poznałem Alice Walker. Później już nic nie było takie samo. Zakochałem się bez pamięci w uroczej dziewczynie o długich brązowych włosach. Wzięliśmy ślub, doczekaliśmy się cudownej córeczki i... wszystko rozpadło się jak domek z kart. Alice nie chciała się opiekować dzieckiem, mówiła, że nie damy sobie rady, że potrzebuje więcej przestrzeni dla siebie, ale ostatecznym powodem rozvodu był... jej romans z baristą.

Taa, okazało się, że facet, który każdego ranka parzył mi jebaną kawę, pieprzy moją żonę w naszym małżeńskim łóżku.

Od czasu rozvodu myślę jedynie o Izzie, mojej pięcioletniej córeczce. Tylko z nią chcę spędzać czas i tylko z nią planuję randki (najczęściej na placu zabaw). Nie potrzebuję już uwagi kobiet, choć ta nadal przyjemnie łechta moje ego. Wiem, że jestem atrakcyjny i dziewczyny stają się wilgotne, gdy zaszczycę je spojrzeniem, ale w życiu liczy się coś więcej niż posuwanie króliczków.

– Powinieneś skończyć z tym celibatem – stwierdza Jim. – Cardi ma przyjaciółkę, mógłbym ją o to zagadnąć.

– Cardi? To już nie Vivienne? – Eric się śmieje.

– Vi musiała wracać do Francji – odpowiada – ale na szczęście jej przyjaciółka nigdzie się nie wybiera. Co ty na to, Green?

– Jestem zajęty.

– Opiekujesz się córką? – Eric uśmiecha się w moim kierunku.

Chłopaki z drużyny wiedzą o moim rozwodzie, o walce o prawa do opieki nad Izzie. Gdy byłem przybity, otrzymywałem od nich solidne wsparcie. Nawet Jim powstrzymywał się ze swoimi durnymi tekstami o ruchaniu. Szkoda, że teraz już tego nie robi.

– Tak, mała zostaje u mnie na cały miesiąc.

– Świetnie! Była nie robiła problemów?

– To decyzja sądu, więc niewiele miała do gadania. Wkurwia mnie, że wydzieramy ją sobie z rąk. Najpierw jest u niej, potem u mnie i tak w kółko. A kiedy mamy mecze wyjazdowe, moja kolej zwyczajnie przepada.

– Chujowo – zauważa Mitch.

– Dlatego sorry, ale nie jestem zainteresowany żadną Vi czy Cardi. Obiecałem, że spędzę resztę dnia z moją małą księżniczką, i właśnie tak będzie.

Schodzimy z lodu, idziemy do szatni, a tam szybko zdejmuję strój hokejowy i ochraniacze. Biorę ręcznik i idę pod prysznic. Gdy tylko wchodzę pod strumień chłodnej wody, czuję, jak moje mięśnie ulegają całkowitemu rozluźnieniu. Nie mam zbyt wiele czasu, więc w pośpiechu doprowadzam się do porządku, a następnie zakładam szorty i koszulkę. Wsuwam łyżwy pod ławkę, a pozostały sprzęt pakuję do torby sportowej, zastanawiając się, czy uda mi się ominąć korek na Houston Street.

– Która godzina? – pytam Mitcha.

– Za pięć dwunasta. Lunch?

– Nie, zjem razem z Izzie.

– Serio? Carlo dziś serwuje steka.

Rozumiem jego zdziwienie. Każdy na moim miejscu skorzystałby z okazji i zwyczajnie został na lunchu, żeby napełnić żołądek przepysznym stekiem wagi o maślano-karmelowym aromacie. I choć propozycja jest kusząca, to twardo stoję przy swoim postanowieniu. Przybijamy z Mitchem piątkę, a potem

wychodzę z szatni i ruszam w stronę tylnego wyjścia z hali. Wsiadam do windy i zjeżdżam na ostatnie piętro, gdzie mieści się podziemny parking naszego klubu. To dobre rozwiązanie, zwłaszcza kiedy chce się uniknąć tłumów. Po paru sekundach udaje mi się zlokalizować samochód i szybko wsiadam za kierownicę. Jadę przez delikatnie zakorkowaną Houston Street i niemalże taką samą Maple Avenue, skręcam w prawo na Kings Road i po dziesięciu minutach zatrzymuję się przed bramą prywatnego przedszkola Seven Wonders. Wbijam krótki kod na domofonie, a później pcham furtkę i energicznym krokiem przemierzam pomalowany kolorową kredą chodnik. Na szczęście drzwi wejściowe są otwarte, więc odnajduję salę Tygrysków, grupy Izzie, i naciskam klamkę. Na widok umazanych farbą stołu, krzeseł i dzieci mam ochotę odwrócić się na pięcie i zwać. Przyznaję, order rodzica roku i tym razem mnie ominie, lecz mimo licznych niedoskonałości wciąż robię wszystko, żeby moje dziecko było zadowolone.

– Dzień dobry, czy mogę w czymś pomóc? – odzywa się młodziutka dziewczyna. Zgaduję, że jest asystentką Almy Brown, nauczycielki Izzie.

– Dzień dobry, przyjechałem po... – Nie kończę, ponieważ pełen radości wrzask wypełnia mi uszy, a zaraz potem w moje ramiona wpada sto dziesięć centymetrów nieposkromionego chaosu.

– Tatuś! – Wzdycha, chowając twarz w mojej piersi. – Czemu tak długo cię nie było?

– Odbiera już pan córkę? – dopytuje dziewczyna.

– Co będziemy robić? Dokąd pojedziemy? Możemy kupić watę cukrową?

– Tak, zabieram Izzie – mówię lekko podniesionym tonem z nadzieją, że uda mi się przebić przez rozemocjonowany głosik dziecka.

- Tato, to co z tą watą?
 - Wata cukrowa? Faj. Ohyda. – Wykrzywiłam usta w grymasie. – Nie jadam takich rzeczy, są szkodliwe.
 - Jenny miała na urodzinach i mówiła, że jest pycha. Chciałam spróbować.
 - Mózg Jenny został pożarty przez cukier – mruczę pod nosem, pomagając jej założyć buty. – Tona barwników na drewnianym patyku.
 - Co to są barwniki?
 - Substancje, które kolorują jedzenie.
 - Kolorują jedzenie? To wata wcale nie jest różowa?
 - Jest biała.
 - Biała? Jak włosy babci Erin?
- Erin to moja była teściowa, panują między nami raczej chłodne stosunki, więc pytanie Izzie bawi mnie bardziej, niż powinno.
- Dokładnie tak.
- Łapię za drobną dłoń, choć nieustannie mam wrażenie, że ją uszkodzę przy byle ściśnięciu, i wychodzimy z przedszkola. Słońce przyjemnie ogrzewa nasze twarze, gdy wolnym krokiem idziemy w kierunku samochodu. Izzie rozgląda się wokół, zapewne podziwiając kwitnące drzewa.
- Widziałeś? – pyta nagle zdumionym głosem.
 - Co takiego?
 - Przelatującego ognistego smoka! – Rozciąga usta w szerokim, nieco psotnym uśmiechu.
 - Jesteś pewna, że to był smok? Ja widziałem tylko samolot.
 - Tato! No pewnie, że to był smok. Taki jak z tej bajki! Był czarny i miał takie wielgachne skrzydła! – Izzie bardzo chce, żebym jej uwierzył. Widzę, jak wiele wysiłku wkłada w zademostrowanie, jak ów stwór latał. – Widzisz? Tak robił! Patrz! – Biega z szeroko rozstawionymi ramionami. – I tak! – Przeskakuje

niewidzialny obiekt. – Widzisz, jaki szybki?! Prawie jak ty, kiedy grasz w hokeja!

Patrzę na nią, na jej urocze koślawe ruchy i ledwo powstrzymuję rozbawienie, gdy wyobrażam sobie, jak bardzo kumple z drużyny byliby zadowoleni, gdybym zaprezentował podobny poziom podczas nadchodzących rozgrywek. Otwieram przed nią drzwi i wskazuję ruchem głowy na fotelik.

– Dobra, smoku, pakuj się do środka.

Izzie szybko wdrapuje się na miejsce, zapina pasy i patrzy na mnie z wyraźnym oczekiwaniem.

– Ale nie powiedziałeś mi, dokąd jedziemy.

– Nie musisz wszystkiego wiedzieć – odpowiadam, muskając opuszką palca czubek jej nosa. – Daj się zaskoczyć, okej?

– Nie lubię niespodzianek.

– Ta ci się spodoba – zapewniam, zamykając drzwi.

Mogłem się domyślić, że będzie ostrożna. Izzie przeszła cholernie wiele. Prawdę mówiąc, żaden dzieciak nie powinien być wystawiany na tak traumatyczne doświadczenia. Jest mi przykro, że nie potrafimy się dogadać z Alice, a każda z początku spokojna rozmowa kończy się awanturą.

– Mama też tak mówiła, a potem nic z tego nie wyszło – stwierdza cicho, kiedy zasiadam za kierownicą. – Spóźniła się i nie obejrzałyśmy filmu.

– Przeprosiła cię – przypominam łagodnie.

– Tak, ale już nie chcę niespodzianek. Są głupie.

Coś ściska mi serce, gdy słucham jej zrezygnowanego tonu.

– W porządku. – Zerkam na nią. – Zabieram cię do zoo.

Może być?

Denerwuję się, czekając na odpowiedź. Wiem, że niedawno zaczęła się bardzo interesować zwierzętami, w szczególności słoniami, i gdy rezerwowałem wejściówki do ogrodu zoologicznego, plan wydawał się wspólny, lecz teraz, kiedy

milczy, dopadają mnie wątpliwości. Może wołałaby coś innego? Nieświadomie zaciskam mocniej dłonie na kierownicy i próbuję zrozumieć, gdzie popełniłem błąd. Jasne, nie spędzamy ze sobą tyle czasu, ile oboje byśmy chcieli, ale każdego dnia wypytuję opiekunkę o... właściwie o wszystko i z tych zasłyszanych fragmentów układam naszą trochę zakrzywioną rzeczywistość.

– Świetny pomysł. Uwielbiam zoo – odzywa się po długiej przerwie.

Jestem zaskoczony, bo gdzieś w głębi ducha już godziłem się z porażką. Nawet byłem skory anulować naszą rezerwację.

– Serio?

– Tak! – Uśmiecha się. – Mogłabym tam zamieszkać.

– W zoo?

– Tak. – Chichocze. – W klatce z tygrysem. Kocham tygrysy!

– Myślałem, że słonie?

– Już nie. Słonie były w zeszłym tygodniu, tato. Teraz wolę tygrysy!

– Zmieniasz zainteresowania szybciej niż Jim laski – mrużąc pod nosem zdumiony tym, jak szybko zmienia swoje objekty westchnień. – Czyli tygrysy, dobra.

– Jakie laski, tato?

Niech mnie, ze wszystkich słów musiała wyłapać akurat to. Nie mam zamiaru wyjaśniać ani broń Boże zagłębiać się w to, co robi Jim, więc próbuję zmienić temat:

– Co robiłaś dziś w przedszkolu? Co u Annie? To twoja koleżanka, prawda? Ta z kręconymi włosami.

– To Betty – poprawia mnie. – Annie ma zawsze warkoczyki.

– Ach.

– Zrobisz mi takie warkoczyki?

– Kotku, z największą radością, ale wówczas będziesz bać się własnego odbicia w lustrze.

Docieramy do Dallas Zoo parę minut przed czasem i parkuję na wyznaczonym miejscu. Zakładam okulary przeciwsłoneczne z durną nadzieją, że dzięki temu stanę się mniej rozpoznawalny. Gdyby był z nami Ben, mój agent, to z pewnością słyszałbym teraz jego cholernie irytujące: „A nie mówiłem?”. No mówił, i to nie raz. Cholera, właściwie to zabronił mi przyjeżdżać do tego zoo i sugerował wynajęcie parku zabaw, ale ja chciałem dać córce coś więcej niż dmuchańce, kulki i zjeżdżalnie. Pragnąłem dla niej normalności. Wydaje mi się, że oboje łakniemy tych prostych, codziennych rzeczy.

– Gotowa?

– A ty? – Mierzy mnie spojrzeniem. – Masz dziwną minę. Byłeś już kiedyś w zoo?

– Jasne, że tak.

– Ale tutaj? W Dallas?

– Nie, chodziłem do zoo, kiedy byłem mały – wyjaśniam. – Moja mama, a twoja babcia zabierała mnie do zoo w Vancouver. Zresztą my też tam byliśmy, pamiętasz?

Marszczę brwi, dokonując szybkich obliczeń. Gdy ostatni raz lecieliśmy we trójkę do Kanady, mała miała dwa latka. Dwa jebane latka, to oczywiście, że przygląda mi się z niezrozumieniem i myśli, że zwariowałem, bo tego nie pamięta. Nie miała nawet szansy zapamiętać. Świetnie, jeśli tak dalej pójdzie, to znowu ją stracę. Na samo wyobrażenie sali sądowej dostaję gęsiej skórki.

– Chyba nie. – Krzywi się, wyjmując spinki z włosów. – Nie są wygodne, bardzo swędzi mnie głowa – mówi rzeczowo, a potem przez chwilę przygląda się mojej ręce. – Czy ja też będę mogła mieć takie rysunki jak ty?

Uśmiecham się dziwnie rozczulony. Rysunkami nazywa moje tatuaże. Mam ich kilka. No dobra, właściwie to mam ich sporo. Naprawdę je lubię. Alice, moja była żona, nie podzielała tej pasji, lecz w tym przypadku nie miała zbyt wiele do powiedzenia.

Moje ciało, moja decyzja. Spoglądałam na córkę, która teraz sunie opuszką palca po wytatuowanych skrzydłach anioła, i za wszelką cenę próbuję okiełznać wzruszenie.

– Czemu tutaj jest anioł? – pyta, przekrzywiając głowę.

– Żeby miał nas w opiece.

– A ten napis?

– To mój ulubiony cytat z wiersza Williama Ernesta Henleya – odpowiadam, przesuując palcem po literach. Prawdą jest, że czytam poezję, ale przez bardzo długi czas robiłem to w ukryciu, obawiając się, że zostanę wyśmiany. Trochę trwało, zanim uświadomiłem sobie, że nie interesuje mnie opinia innych. A ten tatuaż miał mi w tym pomóc. I pomaga do dziś.

*I chociaż kroczę wśród chaosu,
błądzą w cierpienia mrocznej głuszy,
Jestem kowalem swego losu
i kapitanem swojej duszy*.*

Dalej, aż do ramienia, ciągnie się krajobraz mojego rodzinnego miasta Vancouver, mam też liść klonu, nad którym widnieje napis „Prawdziwy Kanadyjczyk. Silny i wolny”. Kiedyś media posądziły mnie, że po cichu kibicuję Toronto Maple Leafs, ale proszę, nie idźcie tą drogą. To (o dziwo) nie ma nic wspólnego z hokejem.

Drugą rękę też mam zrobioną. Na przedramieniu wytatowałem drzewo genealogiczne, w którym między gałęziami przepłatają się słowa wskazujące moje największe wartości: „siła”, „odwaga”, „honor”, „bezinteresowność” i „braterstwo”. Na ramieniu z kolei znajdują się dwa wilki, które reprezentują mnie i mojego starszego brata Jamesa, także grającego w NHL.

* William Ernest Henley, *Invictus*, przeł. Maciej Froński, „Nowy Filomata”, r. 22, nr 1 (2018), s. 79.

– A gdzie jestem ja? – Izzie patrzy na mnie z nadzieją, że podciągnę koszulkę i zobaczy na moim lewym żebrze małe serce ze swoją datą urodzin. Nie muszę dodawać, że to jej ulubiony tatuaż, prawda? – Pokaż mi!

– Później. – Uśmiecham się. Nie żebym nie chciał. Po prostu wolę nie narażać nas na niepotrzebne ryzyko. Media nigdy nie śpią. To, że ich nie widzimy, nie oznacza, że ich tu nie ma.

– A tam? – Stuka mnie palcem w goleń.

Na prawej wytatuowałem dziewiętnastkę, swój klubowy numer. Są też dwa skrzyżowane kije hokejowe i nasze drużynowe motto: „Tam, gdzie nie ma walki, nie ma siły”. Na lewej daty najważniejszych zwycięstw. W tym igrzyska olimpijskie w 2014.

– Narysujesz mi takie? – prosi słodkim głosem.

– Narysuję.

Czarny marker to przecież nie to samo co tusz. Chwytam ją za rękę i szybko podchodzimy do wolnego okienka.

– Dzień do... – Kobieta niespodziewanie urywa, a na jej policzkach kwitną rumieńce. – O Jezu, to pan.

Izzie wspina się na palce i próbuje dosięgnąć lady.

– Czemu ta pani powiedziała, że jesteś Jezusem? – pyta, mrugając.

– Pomyliła się – wypalam bez namysłu. – Dzień dobry, chcielibyśmy potwierdzić naszą rezerwację na nazwisko G...

– Green! – wykrzykuje kobieta. – Jestem pana największą fanką. Oglądałam powtórkę meczu z Krakenem. Och, ten gol w drugiej tercji! Czy mogłabym autograf? Albo dwa? Moja koleżanka też jest pana fanką. Nie tak wielką jak ja, ale sumiennie śledzi wszystkie mecze.

– Czy możemy wejść na teren zoo? – W moim głosie na pewno słychać błagalne nuty.

– Bo chcemy oglądać tygrysy! – dodaje Izzie. – Halo!? Ile można czekać?

– Panie Green, z największą przyjemnością zapraszamy pana na teren naszego wspaniałego zoo!

– Nie wzięła pani wejściówek.

– Ach, to tylko zbędna biurokracja. Proszę, można zwiedzać!

Czy jestem zdziwiony zachowaniem tej kobiety? Ani trochę. Sława potrafi jednocześnie ułatwić i utrudnić życie. Chowam bilety do kieszeni i czym prędzej wchodzimy do ogrodu zoologicznego. Boże, powinienem zamiast okularów wziąć jakąś czapkę. Albo maskę. Najlepiej tę z zeszłorocznej halloweenowej imprezy. „Kapitan Hook porywa pięcioletnią dziewczynkę w Dallas Zoo”. Mhm. Dokładnie tak krzyczałyby nagłówki gazet w całym Teksasie.

– Małpy! – Izzie ciągnie mnie w kierunku klatki z szympanсами. – Wow, spójrz na nie!

Kątem oka widzę zbliżające się tłumy, więc pochylam się w stronę dziecka i udaję zainteresowanie zwierzętami.

– Super.

– Ale śmiesznie chodzi! Prawie jak ta sąsiadka po drugiej stronie ulicy!

– Nie powinnaś się z tego śmiać – zwracam jej uwagę. – To niemiłe.

– Ech, tato. Nie wszystko w życiu jest miłe – odpowiada niemal profesorskim tonem. – No co? Sam mi to powtarzasz.

Pokonany swoją własną bronią. Kurtyna. Z ułtuciem w sercu wspominam czasy, kiedy jeszcze nie potrafiła mówić. Te chwile wydają się tak odległe, że niemal wyssane z palca.

– Chodźmy dalej!

Bez oporów pozwalam Izzie przejąć dowodzenie i skręcamy na jakąś ścieżkę edukacyjną, która kończy się przy wybiegu dla zebr. Spinam się za każdym razem, gdy mijają nas liczne grupy, i by uniknąć kontaktu, zwykle udaję, że wiążę buty. Pomysł tylko z pozoru wydaje się głupi, bo ku mojemu zdumieniu działa. I to całkiem dobrze.

– Jaki kolor włosów podoba ci się u dziewczyn?

Chyba się przesłyszałem, to niemożliwe, żeby zapytała mnie o...

– Takie ciemne jak moje i mamy?

Szlag, ona naprawdę chce to wiedzieć!

– Dlaczego pytasz?

– Bo muszę znaleźć ci nową żonę – odpowiada spokojnie. – Zostanie z tobą, kiedy wrócę do mamusi, i już nie będziesz smutny.

Ze zdumienia zasycha mi w ustach. Nie wiem, jak zareagować na jej słowa, więc zachowując milczenie, kucam przed córką i spoglądam uważnie w jej lśniące brązowe oczy.

– Nie potrzebuję nowej żony – zapewniam, łapiąc ją za rękę.

– Ale ty i mama przestaliście się kochać i teraz mieszkasz sam. A nikt nie lubi być sam.

– Mam ciebie. – Uśmiecham się. – Nawet jeżeli wrócisz do mamy, to nic się nie stanie, bo tutaj – klepię się po piersi – jest twoje miejsce.

– A gdzie trzymasz babcię i dziadka? Wiesz, że serce jest bardzo małe. Nie pomieści wszystkich.

– Serca rosną, gdy są kochane. Mam wokół siebie dobrych ludzi.





– Jak Clifford? – Marszczy brwi. – To chyba nie jest prawda, tato.

Kiedy stała się taka mądra, do cholery? Nie mogę wyjść z podziwu. Rozkładałam ramiona i przygarniam ją do swojego ciała, a moja wcześniejsza radość ustępuje smutkowi, kiedy dociera do mnie, jak wiele takich wspaniałych momentów utraciliśmy.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca